

Włodzimierz Wysocki

SKOK WZWYŻ

Wybicie, skok - i niech to piorun trzaśnie,
trybuny w śmiech, a ja przelykam łzę -
i znów strącone głupie dwa dwanaście,
poprzeczka leży smętnie obok mnie.

Słowo daję, że rzucę ten sport,
mówię wam, że żaden to zysk;
jedną krótką chwileczkę trwa wzlot,
potem spada się prosto na pysk.

Lecz zakazany owoc zwycięstwa zjem
i sławę wytarmoszę za kark jak psa -
każdy z lewej nogi wybija się,
z prawej zaś wybijam się nogi ja.

Przyjemnie jest dokopać leżącemu,
takiego to i dobić nam nie żal -
mój trener rzecz ocenił po swojemu;
człowieku, to ma być skok wzwyż, nie w dal.

Toż hańba, powiedział i wstyd,
ty słyszałeś, palancie, ten gwizd?
To po kiego się wpychasz na szczyt,
skoro ciągle zlatujesz na pysk?

A ja tam robię swoje i swoje wiem,
i sławę wytarmoszę za kark, jak psa -
niech każdy sobie z lewej wybija się,
z prawej zaś wybijam się nogi ja.

Mój rywal właśnie przeszedł dwa szesnaście,
w przestworza poszybował tak jak ptak,
a u mnie to parszywe dwa dwanaście -
trenera za sekundę trafi szlag.

Powiedział, że zaciągnie mnie w kąt
i z rozkoszą da w mordę mi tam,
żebym wiedział, że prawa to błąd,
i że z lewej - jak wszyscy - wybijać się mam.

Lecz choćbym skakać miał do sądnego dnia,
nie zmienię swego zdania w materii tej,
skakać z prawej nogi mam prawo ja,
lewa nie ma prawa zastąpić jej.

PIEŚŃ O ZIEMI

Kto to rzekł: pożar strawił nasz świat,
nigdy ziarna nie przyjmie już ziemia?!
Kto to rzekł: ziemia sczezła do cna?
Przecież tylko na chwilę zasnęła.

Nie wyczerpie nikt morza do dna,
macierzyństwa nikt ziemi nie skradnie!
Mówi ktoś, że spalona, lecz trwa,
choć z rozpaczy szerniała szkaradnie.

Tak, przeciętą okopem ma pierś,
wokół wyrwy jak rany na ciele,
wszystkie nerwy wyprute na wierzch
- Ziemia cierpi nieziemskim cierpieniem.

Lecz wytrzyma, przeczeka zły czas,
nie próbujcie z niej zrobić kaleki!
Kto powiedział, że śpiew ziemi zgasł
i że ziemia zamilkła na wieki?

Przecież śpiewa przez rany, choć śpi,
zabrzmi życiem i jęki zagłuszy.
Przecież dusza człowiecza w niej tkwi,
a butami nie można zgnieść duszy.

REJS MOSKWA - ODESSA

Raz który lecę z Moskwy do Odessy
i znowu, psiakrew, odwołują lot,
wynika to ze słów jej wysokości stewardessy
majestatycznej jak Aerofłot.
Kolejny komunikat zabrzmiał znów,
że nad Murmańskiem wyż i niebo szczere,
przyjmuje Kijów, Kiszyniów i Lwów,
a ja tam nie chcę, mnie tam po cholere?

Radzili mi - pod inne leć adresy
i nie licz bracie, że się stanie cud
i co też ci odbiło? Komunikat był z Odessy,
że mgła i na startowych pasach lód.
A w Leningradzie pełna odwilż już,
no a na przykład w takim Tbilisi
ładuje się wśród pól kwitnących róż,
a ja tam nie chcę, mnie ten adres wisi!

Już słyszę - do Rostowa odlatują,
a ja tak pragnę być w Odessie mej,
mnie ciągnie właśnie tam,
gdzie od trzech dni już nie przyjmują,
mnie korci taki zakazany rejs!
Ja muszę, gdzie zawała śnieżna fest,
gdzie zasy i ogólnie ciężki teren,
gdzie indziej jasno i przytulnie jest,
a ja tam nie chcę, mnie tam po cholere?

Stąd mnie nie wypuszczają, tam znowu nie wpuszczają,
przygnębia mnie mieszanych uczuć splot,
uśmiechy stewardessy coraz mniej mnie pocieszają,
majestatycznej jak Aerofłot!
Przyjmuje ziemi mej najdalszy kąt,
gdzie jak polecę jeszcze mi dopłaca,
przyjmuje Wastok, czort nie port
i Paryż, a ja nie chcę, mnie tam na co?

Ja wierzę, rozpogodzi się, silniki znów zagrają,
już słyszę ja i serce w gardle mam,
znów siedzę jak na szpilkach, a nuż znowu odwołają,
znów znajdą mnóstwo przyczyn, ja ich znam!
Ja muszę jak najszybciej być tam,
gdzie mróz siarczysty hula po kołędzie,
przyjmuje Londyn, Delhi, Magadan,
przymują wszędzie, a ja nie chcę wszędzie!

OBLAWA

Skulony w jakiejś ciemnej jamie smaczniem sobie spał
I spały małe wilczki dwa, zupełnie ślepe jeszcze,
Wtem stary wilk-przewodnik, co życie dobrze znał
Łeb podniósł, warknął groźnie, aż mną wstrząsnęły dreszcze.

Poczułem nagle wokół siebie nienawistną woń
Woń, która tłumi wszelki spokój, zrywa wszystkie sny,
Z daleka ktoś gdzieś krzyknął nagle krótki rozkaz - goń!
I z czterech stron wypadły na nas cztery gończe psy!

Oblawa! Oblawa! Na młode wilki oblawa!
Te dzikie, zapalczywe, w gęstym lesie wychowane!
Krag śniegu wydeptany, w tym kręgu plama krwawa!
Ciała wilcze kłami gończych psów szarpane!

Ten, który rzucił na mnie się, niewiele szczęścia miał
Bo wpadł prosto mi na kły i krew trysnęła z rany,
Gdym teraz - ile w łapach sił - przed siebie prosto rwał,
Ujrzałem małe wilczki dwa na strzępy rozszarpane!
Zginęły ślepe, ufne tak, puszyste kłębki dwa,
Bezradne na tym świecie złym, nie wiedząc, kto je zdławił.
I zginie także stary wilk, choć życie dobrze znał,
Bo z trzema naraz walczy psami i z trzech ran naraz krwawi

Oblawa...

Wypadłem na otwartą przestrzeń, pianę z pyska tocząc,
Lecz tutaj też ze wszystkich stron zła mnie otacza woń,
A myśliwemu, co mnie dojrzał, już się śmieją oczy
I ręka pewna, niezawodna podnosi w górę broń!
Rzucam się w bok, na oślep gnam, aż ziemia spod łap tryska
I wtedy pada pierwszy strzał, co kark mi rozszarpuje,
Wciąż pędzę, słyszę jak on klnie, krew mi płynie z pyska,
On strzela po raz drugi, lecz teraz już pudłuje

Oblawa...

Wyrwałem się z oblawy tej, schowałem w jakiś las,
Lecz ile szczęścia miałem w tym, to każdy chyba przyzna,
Leżałem w śniegu jak nieżywy długi, długi czas,
Po strzale zaś na zawsze mi została krwawa blizna!
Lecz nie skończyła się oblawa i nie śpią gończe psy,
I giną ciągle wilki młode na całym wielkim świecie.
Nie dajcie z siebie zedrzeć skór! Brońcie się i wy!
O! Bracia wilcy! Brońcie się, nim wszyscy wyginiecie!

